

Wagony szły na wschód

Magdalena Dzienis-Todorczuk, Marcin Markiewicz

Mieszkańcy wschodnich terenów Polski okres okupacji „pierwszego Sowietu” kojarzą głównie z masowymi wywózkami w głąb Związku Sowieckiego. Ta forma zbiorowych represji była doświadczeniem setek tysięcy polskich obywateli.

W wyniku agresji sowieckiej na Polskę 17 września 1939 roku wschodnie obszary Rzeczypospolitej znalazły się w granicach Związku Sowieckiego (tzw. Zachodnia Ukraina i Zachodnia Białoruś). Dla mieszkających tam Polaków oznaczało to zmierzenie się z nową władzą, która wszelkimi sposobami dążyła do

wynarodowienia i zrusyfikowania obywateli polskich. Metody, jakimi posługiwali się Sowieci, były bardzo różnorodne: sowietyzacja oświaty, propagowanie wychowania laickiego, przymusowa paszportyzacja, która odebrała Polakom ich dotychczasowe obywatelstwo. Towarzyszyły temu terror i aresztowania. Fizyczna eliminacja tych, którzy wbrew wszystkiemu nie chcieli zapomnieć, że

są Polakami, była istotnym elementem sowietyzacji zagarniętych ziem.

Cztery deportacje z lat 1940–1941 nie były zatem celem samym w sobie, lecz miały doprowadzić do zniszczenia śladów polskiej państwowości na zajętych obszarach oraz ich unifikacji ze Związkiem Sowieckim. Wywózki objęły przede wszystkim polską elitę, która była częścią społeczeństwa najbardziej świadomą swej narodowości i przynależności państwowej. Deportowanych traktowano jako „element kontrrewolucyjny”, destabilizujący sowiecki ład na zajętych terenach. Usunięcie intelektualnej i kulturalnej elity było więc

podstawowym warunkiem skutecznej sowietyzacji i pełnej aneksji Kresów.

Tragedia w czterech aktach

Pierwsza wywózka rozpoczęła się w nocy z 9 na 10 lutego 1940 roku. Sowieci przygotowywali się do niej bardzo starannie. Podczas jednej z narad poprzedzających akcję stwierdzono, że będzie to „ogromna, odpowiedzialna praca wymagająca wielkiej uwagi i poważnego podejścia oraz bezwzględnej mobilizacji sił i możliwości”. Jej celem stali się osadnicy cywilni i wojskowi oraz pracownicy służby ochrony lasów i ich rodziny – w sumie ok. 140 tys. osób. Rozmieszczono ich w 115 osiedlach w 21 republikach, krajach i obwodach Związku Sowieckiego – głównie tam, gdzie przeważał przemysł leśny (obwody: archangielski, swierdłowski, południowe i zachodnie rejony Komijskiej Autonomicznej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej oraz Kraj Krasnojarski). Niespełna miesiąc później, 5 marca 1940 roku, Biuro Polityczne Komitetu Centralnego Wszechnarzędzowej Komunistycznej Partii (bolszewików) nakazało wymordowanie 14 854 polskich oficerów i policjantów z obozów jenieckich w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie oraz ponad 7 tys. osadzonych w więzieniach na Białorusi i Ukrainie.

Druga deportacja, rozpoczęta 13 kwietnia 1940 roku, objęła urzędników państwowych, policjantów, nauczycieli, działaczy politycznych i przedstawicieli ziemiaństwa. Szacuje się, że wywieziono wówczas ok. 61 tys. ludzi. Szczególnie dramatyczne były losy bliskich internowanych oficerów, jak w przypadku rodziny Chodorowskich z Knyszyna w województwie białostockim. Podporucznik rezerwy, dr Józef Chodorowski, służył w kadrze zapasowej 3. Szpitala Okręgowego w Grodnie, do sowieckiej niewoli dostał się w Baranowiczach. Taki sam los spotkał jego starszego brata Bronisława (także podporucznika Wojska Polskiego), który do wybuchu wojny pracował jako weterynarz w Świecianach. Obaj w odstepie kilku dni zginęli w Katyniu. W kwietniu 1940 roku ich rodzice zostali

deportowani do Kazachstanu – na zesłanie jechali w czasie, gdy mordowano ich synów. W 1946 roku do kraju powróciła jedynie schorowana matka.

Trzecia akcja deportacyjna z 29 czerwca 1940 roku objęła głównie tzw. bieżenców, czyli uciekinierów spod okupacji niemieckiej, wśród których dwie trzecie stanowili Żydzi. Ofiarami tej wywózki stało się wielu przedstawicieli inteligencji, m.in. lekarze i ludzie nauki, a liczba wywiezionych to ok. 80 tys. Trafili na Syberię, w większości do obwodów: archangielskiego, swierdłowskiego, nowosybirskiego, do republik Komi, Maryjskiej, Jakuckiej i Kraju Ałtajskiego. Ta wywózka nieco różniła się od poprzednich: deportowanych przez kilka dni zwożono w miejsca formowania transportów i zapewniano ich, że wrócą na ziemię okupowaną przez III Rzeszę.

Ostatnia, czwarta deportacja zaczęła się 20 czerwca 1941 roku – w przeddzień wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Akcja była wymierzona w rodziny i osoby związane z deportowanymi wcześniej grupami ludności. Deportacja ta objęła również republiki nadbałtyckie i Mołdawię. Łącznie wywieziono 90 tys. ludzi, z czego ponad 22 tys. z tzw. Zachodniej Białorusi. Zesłańcy trafili do Kraju Krasnojarskiego, Ałtajskiego, obwodu nowosybirskiego i Kazachstanu. Trudno jest oszacować liczbę osób wywiezionych podczas ostatniej deportacji: badacze podają, że mogło ich być od 31 do 52 tys.

Dobrowolnie pod pistoletem

Scenariusz deportacji był zawsze podobny: łomotanie do drzwi kolbami karabinów w środku nocy, krzyki, bicie, popędzanie w trakcie pakowania, płacz kobiet i dzieci, ujadanie psów. Ten obraz najczęściej pojawia się we wspomnieniach deportowanych. W przypadku pierwszej zsyłki grozę sytuacji potęgował mróz, dochodzący w lutym 1940 roku do minus 40 stopni Celsjusza, a podczas wywózki w czerwcu 1940 roku – potworne upały. W ciągu kilkunastu minut ludzie tracili dorobek całego życia: „10 lutego 1940 roku był dniem rozstania z tym, co kochałam – wspominała po latach jedna

z sybiraczek. – Z rewolwerem enkawudzisty przy głowie ojciec podpisał dokument, że to z dobrej i nieprzymuszonej woli będziemy przesiedleni w inne miejsce. Nie będę opisywać, co działo się w ciągu dwudziestu minut, jakie mieliśmy do zebrania się. Była sobota i mama tylko chleb do pieca wsadziła... a więc i tego nie było na drogę. Szynek z komory wyrwał ojcu enkawudzista, mówiąc, że tam u nich jest *mnogo* wszystkiego, ale żeby nie zapomnieć piły i siekiery zabrać. Pies mój, Burek, ulubieniec, z którym po polach biegałam w dzieciństwie, ujadł straszliwie. Rwał się tak bardzo, że myślałam, iż zerwie się z łańcucha i rzuci na tych, którzy przyszli nas skrzywdzić. *Swołocz* – okropne słowo – usłyszałam i padł strzał”.

Deportacje przeprowadzały tzw. trójki operacyjne NKWD, działające według specjalnych instrukcji. Każda z trójek miała przydzielone po dwie lub trzy rodziny przeznaczone do wywiezienia. Po wejściu do domów funkcjonariusze oznajmiali decyzję o wysiedleniu, po czym przeprowadzali rewizję w poszukiwaniu broni. Następnie miał zostać zrobiony spis majątku pozostawionego przez wywożonych. Oddzielne wytyczne precyzowały, co rodziny mogły zabrać ze sobą: ubranie, bieliznę, obuwie, pościel, nakrycia stołowe, żywność na miesiąc, drobne narzędzia gospodarcze, pieniądze i kufer potrzebny do zapakowania dobytku. Wszelkie instrukcje jednak obowiązywały jedynie na papierze. Deportowanym kazano się pakować w ogromnym pośpiechu, a oszołomieni i przerażeni ludzie często nie myśleli logicznie. Wielu z nich nie zdołało zabrać ze sobą właściwie nic. We wspomnieniach deportowanych często pojawia się stwierdzenie, że dużo zależało od postawy funkcjonariuszy. Jedna z sybiraczek wspominała: „Żołnierze rozkazali nam tonem niedopuszczającym sprzeciwu lub pytań spakować najpotrzebniejsze rzeczy w ciągu 2 godzin. [...] poruszaliśmy się w przerażeniu i poczuciu ogromnego zagubienia”. Inna zapamiętała, że „jak ktoś trafił na lepszego żołnierza, to nawet co nieco pozwolił zabrać. Nam nic nie pozwolili, mieliśmy tylko to, co na sobie”. Jeden ▶

z tych lepszych żołnierzy – jak wspomina pewien deportowany – „podszedł do mamy i wskazując na stojący obok kufer, szepnął »weź ciepłe rzeczy dla dzieci«”.

Zesłańców czekała podróż trwająca nawet kilka tygodni. W bydłych wagonach, którymi jechali, były prycze, żelazne piecyki, a zamiast toalet – dziury w podłodze. Brakowało wody, ciepłych posiłków, opieki lekarskiej. W transportach szybko rozprzestrzeniały się wszy i pluskwy. Do tego dochodził potworny ścisk, dotkliwy szczególnie podczas upałów. Te urągające ludzkiej godności warunki często powodowały śmierć zwłaszcza najsłabszych: chorych, dzieci, osób starszych.

Podróż była jednak zaledwie pierwszym aktem dramatu zesłańców. Szokiem po przyjeździe na miejsce okazywały się warunki mieszkaniowe, które zastawali deportowani. „Wzdłuż ścian baraków zbudowane były dwupoziomowe prycze o wymiarach około 2,5 m długości i prawie 170 cm szerokości. Z trzech stron obite były dartymi [łupanymi] deskami szerokości około 30 cm, tworząc swego rodzaju skrzynię bez jednego boku. Była to standardowa, uregulowana zapewne jakimiś ogólnymi zarządzeniami władz, powierzchnia domu – legowiska przeznaczona dla czterech osób. Do rodzin, które składały się z trzech osób, dokwaterowywano osobę samotną lub kogoś z rodziny pięcioosobowej” – opisywał Zbigniew Fedus, wówczas niespełna dziesięcioletni. Wielu zesłańców kwaterowano w ziemiankach i lepiankach, ciasnych i właściwie nienadających się do zamieszkania. „Było strasznie brudno. Ściany niebielone, wymazane gliną, wołłoki naszpikowane wszami, a w ścianach pluskwy. W pierwszą noc tak nas pluskwy i wszy oblażyły i pogryzły, że najmłodsza siostra dostała gorączki” – wspominała jedna z zesłanych.

Kto nie rabotajet, tot nie kuszajet

Deportowanych zatrudniano do ciężkich, wyniszczających prac: przy wyrębie lasu, w kopalniach, cegielniach, kolchozach, sowchozach, osadach prze-

mysłowych. Przymus pracy dotyczył wszystkich między szesnastym a sześćdziesiątym rokiem życia. Często zdarzało się jednak, że do robót zmuszano dwunastolatków, a i górna granica wieku nie zawsze była przestrzegana. Pracowano po kilkanaście godzin dziennie, przez sześć, a nawet siedem dni w tygodniu. Wycieńczenie robotników, niezwykle trudne warunki klimatyczne i brak odpowiedniej odzieży powodowały choroby i dużą śmiertelność. Zidentyfikowano około 130 łagrów, w których przebywali Polacy. Nadludzki wysiłek zabijał deportowanych, lecz stanowił jedyną możliwość zdobycia pożywienia i przetrwania. W *specposiołkach*, czyli osadach dla deportowanych, obowiązywała praca akordowa – porcje żywności dla zesłańców były uzależnione od tego, jaki procent normy dziennej wykonali. Powszechnie stosowana była sowiecka maksyma: *kto nie rabotajet, tot nie kuszajet* (kto nie pracuje, ten nie je). Opuszczenie dnia pracy skutkowało grzywną, potrąceniem płacy, aresztem lub więzieniem. Najdotkliwszą karą było jednak pozbawienie racji żywnościowej.

Dlatego zesłańcy chwyтали się każdej okazji i każdego sposobu na zdobycie pożywienia: „Rano obudziłem się i stwierdziłem, że ojca nie ma w izbie – wspominał jeden z sybiraków. – Poszedłem zobaczyć, jak oprawia kozę. Zajrzałem do szopy i zdziwiłem się: koza stała w niej i spokojnie spoglądała na mnie. Poszedłem po śladach pozostawionych w śniegu i zobaczyłem, że za chatą ojciec obdziera ze skóry psa. Z zadowoleniem stwierdziłem, że nareszcie wpadł w sidła. Ojciec kazał pozacierać mi ślady na śniegu przy płocie i aż do drogi. Zrobiłem to najlepiej, jak umiałem. Przez trzy dni skóra na nas drżała, że żołnierze mogą po śladach dojść do nas. Na trzeci dzień spadł śnieg i zasypał wszystkie ślady. Teraz mogliśmy być spokojni. Mięso z tej zdobyczy było wykorzystane dokładnie, nawet wszystkie kostki zostały pooblizywane. Najwydajniejszym było sporządzenie galarety. Pomimo że nie było do niej żadnych przypraw ani warzyw, a soli było w niej

jak na lekarstwo, to i tak smakowała jak najlepszy w świecie rarytas”.

Deportowanych z lutego i czerwca 1940 roku oraz czerwca 1941 roku osiedlano w miejscach pracy przymusowej. Zesłańcy z kwietnia 1940 roku znaleźli się w osadach podlegających administracji państwowej, od której zależało ich zatrudnienie. Częstokroć oznaczało to, że ludzie ci pozostawali bez zajęcia i środków do życia. Większość syberyjskich zesłańców pracowała przy wyrębie lasu – siekierką i piłą ręczną. Podczas wyrębu ludzie umierali z wycieńczenia i głodu. W ciągu roku były tylko trzy dni wolne: 1 stycznia, 1 maja i 7 listopada (rocznica Rewolucji Październikowej). Do lasu raz dziennie dostarczano zupę (*pachlopkę*) i wrzątek (*kipiatok*).

Najtragiczniejszy los spotkał zesłanych do kopalń ołowiu na Czukotce i kopalń złota na Kolymie. „Temperatura była bardzo niska [nawet do minus 70 stopni Celsjusza] – opowiadał jeden z deportowanych w obwodzie magadańskim – a zimny wiatr z północy, niosący z sobą pył śniegu, mroził do szpiku kości. Nawet opaski ze szmat, jakimi chroniliśmy nasze twarze, zamarzały wokół ust, a zimne powietrze zapierało oddech. Tutaj marzło się nieustannie, od rana do nocy. Stojąc oparty na łopacie, przez szczeliny opaski patrzyłem na moich współtowarzyszy. Każdy z nich tak jak ja, stał nieruchomo, a przyprószony pyłem śnieżnym wyglądał jak biały słupek wystający ponad powierzchnię śniegu. Te ludzkie słupki stały jak duchy, zamrożone w trakcie pracy i czekające na wybawienie od udręki białego piekła”.

Szczególnie dramatyczny był los zesłanych dzieci. Na co dzień stykały się ze śmiercią i chorobami najbliższych, rosły w poczuciu ciągłego strachu i niepewności. Głód, trudny klimat, liczne choroby powodowały ogromną śmiertelność wśród najmłodszych. Wielu z nich straciło kontakt z rodzicami czy to w wyniku aresztowania, czy zgubienia się w trakcie podróży. Liczba sierot rosła – w 1942 roku oceniano ją na 20 tys. Zdarzało się, że polskie rodziny przygarniały sierotę, wiązało się to jednak

z dodatkowym obciążeniem i koniecznością utrzymania jeszcze jednej osoby. Najczęściej więc pozbawione opieki polskie dzieci trafiały do sowieckich domów dziecka. Zdarzały się też sytuacje, kiedy dziecko odbierano matce pod jej nieobecność i przymusowo umieszczano w placówce. Jedna z matek wspomina, że odzyskała synka po zapłaceniu dużej łapówki. Dziecko było „wystraszone jak pisklą, które wyrwano z gniazda. Tulił się do mnie, cieszył ze swojego powrotu i mówił po rosyjsku: *Mamoczka, ty wsie-gda budziesz tiepier so mnoj*”.

W ochronkach dzieci były mniej narażone na głód, musiały się jednak borykać z niechęcią sowieckich opiekunów, agresją ze strony innych podopiecznych i rusyfikacją. Obowiązywał zakaz modlitw i rozmów w języku polskim, co miało przyspieszyć proces wynarodo-

wienia. Wielu dzieciom zmieniono nazwiska, co powodowało, że zwłaszcza najmłodsze zapomniali, skąd pochodzą (jedną z takich historii – losy Ryszarda Pokropowicza – opisał Paweł Niziołek w „Pamięci.pl” nr 3/2014).

Chociaż deportowani Polacy rzadko źle wspominają miejscowych syberyjskich bądź kazachskich sąsiadów, to zdarzały się przypadki poniżania, szyderstw i przemocy fizycznej. Jednak to właśnie miejscowa ludność często przychodziła zesłańcom z pomocą. Oto świadectwo jednej z polskich matek deportowanych z małym dzieckiem: „Po obłędnie długiej, straszliwej podróży z chorującym dzieckiem osiedlono nas w tartacznej osadzie, w Narymskim Kraju – 300 km na północ za Tomskiem. Trafiłam na kwaterę do rosyjskiej rodziny. Byli to zesłańcy z okresu kolektywizacji. I tutaj też miałam szczęście, spotykając dobrych, serdecznych ludzi, pełnych współczucia, chętnych do pomocy, lecz równie jak my biednych, nieszczęśliwych, okrutnie do-

świadczonych przez własne władze, nie przez wroga. Do dzisiaj też wzrusza mnie wspomnienie doznanej wyjątkowej pomocy ze strony lekarzy rosyjskich.

Dwu k ro t n i e byłam przyjęta wraz z chorym dzieckiem na dłuższe, prawie miesięczne, leczenie. Raz była to dezenteria, po dwóch latach malaria. Byłam jedyną wówczas matką obecną w szpitalu z chorym dzieckiem”.

Liczba osób wywiezionych w głąb Związku Sowieckiego podczas czterech wielkich deportacji do dzisiaj budzi spory zarówno wśród

historyków, jak i samych zesłańców. Badacze dokonujący obliczeń na podstawie szacunków rządu RP w Londynie i danych ambasady polskiej działającej w 1941 roku w Związku Sowieckim podawali liczbę około miliona deportowanych. Nowe możliwości badawcze stworzyło stopniowe uchylanie (bo ciągle jeszcze nie otwarcie) drzwi archiwów w krajach postsowieckich. Niewątpliwie dzisiejszy stan wiedzy jest nieporównanie większy niż dwadzieścia lat temu, ciągle jeszcze istnieje jednak wiele znaków zapytania i nieścisłości.

Dostęp do archiwaliów rosyjskich i białoruskich umożliwił weryfikację danych dotyczących liczby wywiezionych obywateli polskich w latach 1940–1941. Znawcą tej problematyki, Aleksander Gurjanow ze Stowarzyszenia Memoriał, wykorzystując dokumenty Wojsk Konwojowych NKWD (m.in. imienne spisy osób wywożonych) oraz materiały Wydziału Osiedleń Roboczych i Specjalnych Gułag NKWD – ustalił liczbę deportowanych na 320–340 tys., a więc o wiele mniej niż szacowali emigracyjni historycy. Podstawą tych informacji jest wiarygodne, choć niepełne – w dalszym ciągu pozwalające jedynie szacować – materiały źródłowe. Należy też pamiętać, że sowieckie represje dotknęły nie tylko deportowanych. Po 17 września 1939 roku do niewoli trafiło 45 tys. polskich jeńców wojennych, dodatkowo na terenach II Rzeczypospolitej zajętych przez Sowieców ofiarami masowych aresztowań padło około 110 tys. osób. Łącznie w latach 1939–1941 różne rodzaje sowieckich represji dotknęły od 462 do 490 tys. obywateli polskich. Z tej liczby życie straciło ponad 58 tys. osób. Co najmniej 33 tys. rozstrzelano (w tym ofiary Zbrodni Katyńskiej), co najmniej 25 tys. zmarło w obozach i na zesłaniu. ■

Magdalena Dzienis-Todorczuk – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku

dr Marcin Markiewicz – kierownik Referatu Badań Naukowych i Zbiorów Bibliotecznych Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku

Fotografie pochodzą z wystawy „Sybiracy”, przygotowanej w Oddziale Instytutu Pamięci Narodowej w Białymstoku.

► Zesłane do Altajskiego Kraju (od lewej): Wanda Drozdowska, Halina Żelazna, Jadwiga Kożuchowska, Janina Kudrycka; 1945 lub 1946 rok

